rok 1 — Warszawa, dnia 15 lipca 1932 r. — nr. 8

Zet

sztuka kultura sprawy społeczne

8 — cena 50 gr. — dwutygodnik

POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA

Bałwochwalstwo pracy

Ostatni rok zaznaczył się w Polsce wzmożoną aktywnością poszukiwań ustrojowych w dziedzinie gospodarczo - społecznej. Bodźcem był kryzys powszechny, dalszym motorem właściwa umysłowości polskiej dążność do praktycznego, a logicznego rozwiązania trudności i sprzeczności życia zbiorowego. Ruch, jaki wyrósł na tem podłożu, zmierza wyraźnie nietylko do konsolidacji świata pracy, ale i do odegrania roli aktywnej w kształtowaniu nowego oblicza politycznego Polski współczesnej. Znamiennem jest gwałtowne rozszerzanie się tego ruchu zarówno w ramach organizacyj zawodowych pracowników umysłowych, jak wśród młodzieży akademickiej. Szereg czasopism akademickich i nieakademickich reprezentuje już ten nowy kierunek ideowy.

Otóż cel tych poczynań jest niewątpliwie szlachetny, cóż kiedy dobre owoce ich paraliżuje chaos w dziedzinie podstawowych pojęć, bez których precyzji — określenie jakiejkolwiek rzeczywistości społecznej nie jest możliwe.

Gdyby nie rażące błędy, ruch ten mógłby odegrać już w najbliższej przyszłości olbrzymią rolę i to nietylko u nas. Położenie geograficzne na pograniczu dwu odrębnych światów ideowych. „kapitalistycznego“ Zachodu i „bolszewickiego“ Wschodu — plus pewne specyficzne warunki psychiczne i polityczne środowiska polskiego predestynują Polskę do szczególnie doniosłej misji historycznej w obecnej dobie. Płaszczyzna tarć dwu wielkich systemów polityczno - gospodarczych znalazła się w samym kręgosłupie rzeczywistości polskiej. To daje możność obserwacji zbliska i bezstronnej oceny obu tych systemów. Dlatego winna zrodzić się w Polsce *nowa prawoda dziejowa*, dość silna, by rozepchnąć obydwa prące na nią bloki ideologiczne i podać sąsiadom wzór rozwiązania trudności kryzysowych, na wszystkich płaszczyznach życia społecznego: gospodarczej, politycznej, religijnej i umysłowej.

Sytuacja tego rodzaju winna pobudzić całą naszą energję twórczą. bo w historji, tak jak na placu bitwy, spóźniać się nie wolno. Ale tem większa obowiązuje nas ostrożność, byśmy nie popadli w błędy, unicestwiające cały nasz wysiłek.

Otóż to, co dzisiaj piszą teoretycy wspomnianego ruchu społecznego na łamach swoich czasopism — świadczy niestety, że podstawowy błąd. tkwiący w samym rdzeniu wszystkich dotychczasowych doktryn radykalno - społecznych (od socjalizmu utopijnego aż do komunizmu i syndykalizmu włącznie), nie został usunięty i rozwija się w dalszym ciągu u nas.

Błąd ten zaszczepiony został ludzkości już od czasu encyklopedystów i rewolucji francuskiej, kiedy to zwichnięto równowagę społeczną, usuwając nieopatrznie z ustawodawstwa prawo Boże, a gruntując tezę, że władza pochodzi jedynie i wyłącznie od ludu. Spotęgował go jeszcze materjalizm dziejowy, który zwichnął do reszty zdrowy pogląd na rzeczywistość, podporządkowując różnorodne płaszczyzny życia ludzkiego, jednej jedynej płaszczyźnie *gospodarczej*. Katastrofalność marksizmu polegała na tem, że zdegradował on wszystkie cele człowieczeństwa — na rzecz jednego celu, a mianowicie dobrobytu fizycznego („Pamiętajcie, że Bogiem waszym jest żołądek“ — Lenin).

W ten sposób zrodziła się najpierw straszliwa fikcja, że władza należy wyłącznie do ludu, a nie do Boga (czyli *prawa moralnego)*. Potem wmówiono ludzkości, że *tylko* dobrobyt gospodarczy może być jej celem. Z przesłanek, że człowiek sam (bez Boga i praw przyrody) panuje nad życiem społecznem, zaś życie społeczne to świat procesów gospodarczych — wysnuto warjacki wniosek, że człowiek panuje nad życiem gospodarczem i może je dowolnie *organizować*. Stąd już krok tylko do zakwestjonowania jakiejkolwiek niezależności praw ekonomicznych od woli ludzkiej— a dalej do prób swobodnego żonglowania temi prawami, zapomocą zmiennych doktryn, formułek, papierowych ukazów rewolucyjnych i t. p.

Wynik: zupełny rozstrój, zwyrodnienie kapitalizmu i socjalizmu, potworna mięszanina liberalizmu z etatyzmem, gospodarką planową, „zdobyczami socjalnemi“ — jednem słowem bezwstydny zamęt, nieuchronny tam, gdzie człowiek nie znając wcale praw i elementów organizmu gospodarczego świata, w nonszalancki sposób usiłuje je przewracać do góry nogami, deformować i zmieniać.

Błędny pogląd na rzeczywistość gospodarczą zakorzenił się tak dalece w mózgach ludzkich, że dziś już nikt nawet słyszeć nie chce o rewizji swych pojęć w tej dziedzinie. Zarówno zwolennicy kapitalizmu, jak socjalizmu (wraz z jego rozgałęzieniami i prądami wtórnemi) brną naoślep w karkołomny nonsens społeczny, nie zdając sobie nawet sprawy z przyczyn i skutków swego błędu.

Błąd ten polega przedewszystkiem na tem, że pomieszano dwie dziedziny życia ludzkiego: 1) życie fizyczne (zwierzęce) podlegające niezmiennym prawom przyrody, czyli życie gospodarcze i 2) życie moralne (ludzkie), całkowicie wolne od praw przyrody, czyli życie polityczne.

Prawa i elementy życia gospodarczego stanowią mechanizm, układ sił w równowadze doskonałej. Aby się niemi skutecznie tj. z korzyścią posługiwać, musimy im się podporządkować. Podobnie chcąc zużytkować elektryczność, nie zmieniamy jej praw, lecz *poznajemy je* i przystosowujemy się do nich, konstruując odpowiednie maszyny. Natomiast życie prawno-polityczne, zależne jest od woli ludzkiej i może być przez nasz rozum w myśl idei sprawiedliwości społecznej świadomie i celowo *organizowane*.

Nie znaczy to, by gra sił ekonomicznych miała być jakąś mistyczną „wielką niewiadomą“; wprost przeciwnie, podlega ona całkowicie wyznaczeniu matematycznemu, tj. może być poznana w całym swym zakresie przez umysł ludzki. Nie możemy jej tylko dowolnie zmieniać, tak jak nie możemy mimo swej wolnej woli, zmieniać mechanizmu zegara, bo przestałby wówczas pełnić swe zadanie, którem jest mierzenie czasu.

Gra sił ekonomicznych zapewnia dobrobyt wszystkim bez wyjątku członkom społeczeństwa, jeżeli się jej nie dezorganizuje przez szkodliwe eksperymenty, oraz przez wojny i rewolucje. Przyczyna upośledzenia gospodarczego pewnych klas ludności leży nie w tej grze sił, lecz w *systemie politycznym*, tj. w dziedzinie moralno-prawnej, której zmiany zależne są od woli ludzkiej.

Zamiast tedy tworzyć fantastyczne teoryjki społeczne, uspołeczniać środki produkcji i robić różne hokus pokus ze złotem i kapitałem — należałoby:

1) poznać *teoretycznie* prawa i elementy, czyli cały układ sił ekonomicznych, cały ich dynamizm, którego motorem i elementem podstawowym jest PRACA;

2) dążyć do przemiany *praktycznej* ustroju prawno - politycznego (nie gospodarczego!) ludzkości, przez wynalezienie dlań formy, równoważącej sprzeczne światopoglądy stronnictw politycznych i umożliwiającej wszystkim członkom społeczeństwa wolny rozwój ich ekspansji twórczej, której zasadą i celem jest CZYN TWÓRCZY.

Niestety, ludzkość idzie dotychczas po linji najmniejszego oporu. Zamiast organizować nowy ład *moralny*, do którego koniecznym wstępem jest trud wychowania człowieka twórczego — ponawia wciąż próby dźwignięcia nowego ładu *gospodarczego* i to przez przewrócenie do góry nogami samych, podstaw tego ładu, co prowadzi świat do nieuchronnej ruiny.

Organizacja ładu moralnego (prawno - politycznego) jest bardzo trudna, ale *możliwa* i daje perspektywę świetnej przyszłości świata cywilizowanego.

Organizacja ładu fizycznego (społeczno - gospodarczego), napozór łatwa, gdyż wymaga tylko rzezi rewolucyjnej i unormowania życia przez papierowe ukazy, podyktowane przez fikcyjne teoryjki — jest *niemożliwa* i grozi zagładą człowieczeństwa, zarówno w polu duchowem, jak materjalnem.

Wpadanie rodzącego się w Polsce ruchu społecznego na terenie świata pracy w ten sam przesąd, którego jaskrawy wyraz znajdujemy w Sowietach, a którego wynikiem jest proces rozkładu cywilizacji europejskiej — uważać należy za objaw wysoce niepokojący. Teoretycy tego ruchu winni podjąć rewizję jego założeń, aby nie stał się on — mimo szlachetnych intencyj — czynnikiem rozkładowym i wstecznym na wielkim szlaku, wiodącym do nowej Polski i nowej ludzkości. Aby zaś ułatwić sobie to zadanie, powinni przedewszystkiem odgraniczyć wyraźnie dwie różnorodne zasady: pracę i czyn twórczy.

Prawdą jest, że praca jest miernikiem wartości w dziedzinie życia gospodarczego. Prawdą jest również, że praca jest obowiązkiem społecznym człowieka i w nowem społeczeństwie wartość jednostki, jako *wytwórcy dóbr ekonomicznych* zależeć winna od stopnia jej natężenia. Ale praca nie może być stawiana na ołtarzu nowej ludzkości, jako jej bożyszcze i ideał najwyższy, bo powiększyłaby wtedy tylko muzeum szkodliwych fetyszów.

Praca nie może być *celem samą w sobie;* jest ona bowiem tylko procesem realizacji, użyciem pewnej ilości trudu dla osiągnięcia jakiegokolwiekbądź celu. W niszczenie wkładać można tyleż samo pracy, co w budowanie. Dlatego praca była i będzie zawsze *środkiem* do celów, znajdujących się poza nią. Cele te — wyznacza nasz rozum twórczy. A więc godłem i miernikiem człowieczeństwa może być tylko czynność twórcza rozumu ludzkiego.

Praca, to trud mechaniczny, dlatego określa ona wartość człowieka, jako istoty *fizycznej*. Natomiast czyn twórczy to samorzutność rozumu, dlatego określa on wartość człowieka, jako istoty *duchowej*.

Pracujemy *dlaczegoś!* Godność nasza zależy od rodzaju celów, ku którym zdążamy przez pracę. W najniższej kategorji tych celów mieści się osobisty dobrobyt materjalny. Wyższą klasę stanowi dążenie do dobrobytu wszystkich ludzi, jako członków solidarnej wspólnoty. Prawdziwym jednak celem wszelkiej pracy winien być *sam człowiek* tj. budowa ładu moralnego, w którym każda jednostka i cała wspólnota ludzka będzie mogła rozwinąć w sobie rozum twórczy, *stworzyć samą siebie*.

Ma to być era pełnego człowieczeństwa, era Rozumu, era zrealizowanej nareszcie doskonałej WOLNOŚCI, w harmonji praw ludzkich z prawem Bożem.

Bałwochwalstwo pracy nie doprowadzi nas do tej ery. Jeśli bowiem uznamy pracę za jedyny i ostateczny ideał, zapomnimy o ideale najwyższym, do którego narzędziem tylko i środkiem, — jakkolwiek koniecznym i wzniosłym — jest praca.

Praca dla ciała, czyn twórczy dla ducha — oto drogowskaz na Jutro. Lecz duch albo będzie zdeptany, albo musi zapanować nad ciałem.

Państwo a kościół

Nadesłano nam z Poznania „Życie Uniwersyteckie“, (nr. 9) organ młodzieży demokratycznej szkół wyższych. Znajduje się tam artykuł pt. „Klerykalizm jako doktryna polityczna“, na marginesie, którego umieszczono dopisek, że artykuł jest odpowiedzią na nr. 4-ty „Zetu“ („Polityka a prawo moralne“). To skłania nas do nakreślenia uwag na temat wywodów autora art., Czesława Przymusińskiego.

Artykuł zawiera zjadliwą — choć niestety dość powierzchowną — krytykę listu pasterskiego kardynała Hlonda, nazwanego szyderczo Konstytucją Polskiego Państwa Teologicznego.

Zdaniem autora jest to „konsekwentnie rozwinięta doktryna państwa teologicznego, przemycona dla lepszego wzięcia razem z mnóstwem truizmów etycznych“.

„Pod rzymsko - katolicką doktryną „państwa teologicznego“ rozumie się, jak wiadomo, ideał państwa „rządzonego przez Boga“, czyli przez Jego namiestników na ziemi tj. kler rzymsko - katolicki. Tę nieco zracjonalizowaną (przez wprowadzenie instytucji „chrzcicielowego zakazu“) doktrynę ks. kard. Hlond podaje do „wierzenia“ i surowemi obwarowuje sankcjami“.

Nie mamy zamiaru zajmować się na tem miejscu całokształtem tez i światopoglądu moralno - politycznego listu pasterskiego ks. kardynała Hlonda. Zresztą w artykule „Polityka a prawo moralne“ nawiązaliśmy tylko do niego, wyjmując zeń jedno, niezwykle ważkie i aktualne zdanie i podejmując rozważania na jego temat; chodziło nam mianowicie o napiętnowanie bezsensownego i szkodliwego przesądu potocznego, że „polityka stoi poza dziedziną prawa moralnego“, oraz o udowodnienie, że należy ona właśnie całkowicie do tej dziedziny.

Gdy jednakowoż wyzwano nas niejako na dyskusję wypowiadamy swój pogląd:

1) Zdaniem naszem Przymusiński nie rozumie dobrze poruszonego przez siebie zagadnienia, które uważa za mniej skomplikowane, niż jest w istocie:

2) Państwo i Kościół to dwa równorzędne **zrzeszenia etyczne;** Państwo jest zrzeszeniem prawnem, mającem za zadanie przestrzegać porządku prawnego przez **przymus,** Kościół zaś jest zrzeszeniem religijnem, czuwającem nad czystością zasad (maksym) moralnych w człowieku. Dlatego Państwo jest tylko stróżem bezpieczeństwa publicznego i postępków obywateli — Kościół natomiast winien być stróżem sumień ludzkich, do których Państwo niema dostępu. Państwo reprezentuje **prawo ludzkie** i działa przez przymus, Kościół reprezentuje **prawo Boże** i działa przez wolność (t. zn. przynależność do Kościoła winna być i jest dobrowolna). O ile godność człowieka pozwala, by sędziami uczynków ludzkich byli ludzie — o tyle wymaga ona, by sędzią sumień ludzkich był Bóg, najwyższa prawda, najwyższe, dobro i najwyższa, bezinteresowna sprawiedliwość.

3) Rozdział Kościoła od Państwa byłby katastrofalnem rozdarciem dwu dziedzin życia człowieka (tj. zewnętrznego, fizycznego — i wewnętrznego, duchowego). Jak obie te dziedziny uzupełniają się nawzajem, stanowiąc jedność, tak obie te instytucje, kościelna i świecka, muszą współdziałać celowo i harmonijnie, gdyż jedna bez drugiej nie mogą się obejść i są dwoma sposobami realizacji jednego ładu moralnego, którego osiągnięcie jest ideałem historycznego rozwoju ludzkości.

4) Słusznie pisze Przymusiński, że „państwo... nie jest organizacją religijną“; musi natomiast nieuchronnie współdziałać z Kościołem, jako właściwą organizacją religijną, która ze swej strony winna być podporą moralną dla Państwa jako organizacji prawnej.

5) Pewien ideał moralny winien obowiązywać; dlatego państwo nie może być „bezwyznaniowe“ (jak chce autor), bo wówczas pozbawione busoli, spaść może poniżej zdobytego przez ludzkość chrześcijańskiego — najwyższego jak dotąd — ideału moralnego. Natomiast winno być tolerancyjne, w pełnem tego słowa znaczeniu.

6) Królestwo Boga na ziemi nie jest jednoznaczne z państwem teologicznem, rządzonem przez kler. Królestwem takiem będzie natomiast — zdaniem naszem — państwo rozumu, w którem oba prawa, boskie i ludzkie harmonijnie ze sobą współdziałają.

* * *

Konflikt między jednostką, a bezpośrednim odświadczeniem, oraz pośrednią tradycją jest właśnie historją nauk, albowiem wszystko, co się w masach i przez masy dzieje, ściąga się ostatecznie tylko do jakiejś dzielniejszej jednostki, która wszystko musi zebrać, rozsegregować, zredagować i połączyć; przytem jst to zupełnie obojętne, czy współcześni popierają takie usiłowanie, czy też przeciwstawiają mu się. Albowiem cóż znaczy popierać, jak nie pomnażać i rozpowszechniać to, co już istnieje. Przez to przynosi się wprawdzie pożytek, lecz nie popycha się naprzód rzeczy głównej.

Goethe t. XXXV.

Odpowiedź p. J. Ulatowskiemu

na jego artykuł w „Kulturze" p. t. „Witkiewicz-intelektualista"

Pan Jan Ulatowski postępuje ze mną dziwnie, t. zn. w pewnym sensie bardzo normalnie: zakłada mianowicie istnienie pewnej fikcyjnej postaci, którą nazywa mną i znęca się nad nią następnie z szatańską uciechą dla siebie, a może i dla innych. Tak ze złą wolą postępuje i postępowało już wielu ludzi w stosunku do mnie i między sobą — jest to u nas metodą ogólną. Czy w wypadku niniejszym odegrywa u p. U., jakąś rolę zła wola nie śmiem jeszcze rozstrzygnąć. Pewien moment psychologiczny, którýby na coś podobnego wskazywał, uwydatnia się ku końcowi tej odpowiedzi.

Większa część zarzutów, które robi mi p U. polega 1) na nieznajomości całości mojego „systemu filozoficznego", 2) na znajomości jednego tylko zdaje się feljetonu z I. K. C. (było ich o ile sobie przypominam koło 12-tu i to stanowiących pewna całość; z całości tej mógłby p. U. większe pojęcie o mojej filozoficznej koncepcji sobie wyrobić): 3) na nieporozumieniach, które z łatwością dałyby się usunąć, ale wymagałyby dużo czasu i miejsca

Mimo trudności zadania spróbuję poprostu „dla sportu" odpowiedziec panu U.[1], mimo że właściwą odpowiedzią powinnoby być przeczytanie mu niewydanej (według mnie niestety[2]) mojej pracy filozoficznej głównej (t. zw. „Hauptwerku") — wtedy dopiero walka mogłaby się rozpocząć na serjo, o ileby p. U. z niej nie zrezygnował.

Przedewszystkiem zauważyć muszę, że p. U. pisze o mnie z niebywałym tupetem, graniczącym z arogancją połączoną z impertynencją, a treścią tego co pisze nie usprawiedliwia tego, jak się wyraża. Treść ta może oszołomić nieobeznanego z problemem czytelnika (o ile wogóle zrozumie on o co chodzi, co jest bardzo ciężkiem zadaniem), ale po bliższem wejrzeniu w nią okazuje się trochę „dęta", co zaraz postaram się wykazać.

Pan U. „materjalizuje się" jako mój „negatyw" w formie dość nieokreślonej — nie można wywnioskować co uprawnia go do tak apodyktycznego tonu, ponieważ pozytywna jego charakterystyka, jako myśliciela nie zarysowuje się przed nami dość jasno na tle jego artykułu, a innych jego prac nie znamy.

A więc: do pewnego punktu swego elaboratu pan U. streszcza dość dokładnie moje teorje, a następnie wpada w zupełne ich niezrozumienie. Muszę odesłać go do moich prac: „Nowe formy w malarstwie", „Szkice estetyczne" i „Teatr" (dwie ostatnie dostać można u Hoesicka), bo wykładanie całej mojej estetyki na nowo byłoby tu niemożliwe, a nawet zbyteczne. Bo jeśli pan U. może, znając moją teorję, zapytać czemu „czerwone kółko" nie może zaspokoić potrzeb wszystkich twórców i odbiorców artystycznych, mimo że teorja moja — jak sam to stwierdził — opiera się na pojęciu „jedności w wielości" (nie „wielkości" — uwaga dla zecera — wszyscy robią ten sam błąd) i tłumaczy konieczny stosunek istotnych elementów dzieła sztuki, a więc elementów formalnych do nieistotnych, a koniecznych elementów treści (uczuć, wyobrażeń, myśli), tym problemem się właśnie zajmuję i rozwiązuję go bez reszty w sposób prosty i jasny, ku zmartwieniu tych, co lubią pływać w mętnej wodzie krytycznej — to w takim razie, po moim wykładzie spytałby znów: a więc czemu czerwone kółko i t. d. i tak ciągle w kółko. Na to rady nie ma. Jest to t. zw. nieporozumienie. Ile w tem nieporozumieniu jest niezrozumienia prawdziwego, a ile programowego — nie wiem, ale pwne symptomy zdają się świadczyć, że jest w tem coś z programu.

Nic mi pan U. nie potrzebuje „tłumaczyć" w tem znaczeniu i tonie, w jakich używa tego słowa: nic mi nie jest tak obcem i wrogiem nawet jak teorja „behaviourystyczna". Nigdy nie mam zwyczaju zastrzegać się, że „chodzi mi o przybliżenia" — jest to zwykłe kłamstwo. Pojęcia przybliżenia używam tylko jeśli chodzi o stosunek poglądu fizycznego do rzeczywistości, uznając fizykę za naukę o podstawie statystycznej. Jestem absolutystą w sferze filozofji, t. zn. wierzę w absolutną prawdę poza-doświadczalną (przyczem pojęcia doświadczenia używam w znaczeniu poglądu fizycznego i nauk przyrodniczych) ale nie w „absolut" à la Wroński, które to pojęcie uważam za niejasne i zbyteczne. Uważam, że filozofja bada tę sferę, która jest u podstawy wszelkiego doświadczenia i bez której żadne doświadczenie nie jest możliwe do pomyślenia. Tego nie chcą widzieć zwolennicy „czystego doświadczenia" — nie rozumieja ile pojęć apriorycznych muszą przyjąć, aby umożliwić sobie najprostsze nawet doświadczenie. To powinien wreszcie zrozumieć Winawer i nie mącić umysłów przeciw filozofji.

A więc nie trzeba mi wcale tłumaczyć, że czyste doznania zmysłowe (jakości) nie istnieją. Rozumiem to dobrze w ten sposób, że czyste jakości w rzeczywistości są niespotykane, jakkolwiek na nie rozłożyć możemy pojęciowo wszystkie nasze przeżycia i świat zewnętrzny, jako na ostateczne elementy proste, ale jako takie niesamodzielne, t. zn. występujące w kompleksach, na „tle zmieszanem" (unbemrkter Hintegrund Corneliusa) innych jakości, a przedewszystkiem wspomnień. Ale również zrozumieć trzeba, że mimo iż w życiu, a nawet w psychologji jako w nauce, operujemy pojęciami: przedmiotów, stworzeń, pojęć, uczuć, aktów, procesów myślowych i t. p. (umyślnie podaję tu taką mięszaninę) to aktualnie wszystkie te „istności" możemy wyrazić w terminach poglądu psychologistycznego (Mach, Avenarius, Cornelius) t. zn. w następstwach kompleksów jakości „żywych", aktualnych, (barw, dźwięków, dotyków, czuć muskularnych, czuć organów wewnętrznych), jakości byłych czyli wspomnień i to jakości zewnętrznych (zlokalizowanych w „świecie") i wewnętrznych (zlokalizowanych w ciele) i wewnętrzno-nętrznych zlokalizowanych na jego granicy. Pojęcia „aktu" i „przedmiotu", które tak beznadziejnie zagmatwują fenomenologję Husserla, są skrótami psychologicznemi, ale nie pojęciami filozoficznie ostatecznemi — są sprowadzalne do pojęcia następstw jakości **przy założeniu pojęcia jedności osobowości i to bezpośrednio danej** — tylko dla zastąpienia tego, dla niektórych metafizyką obciążonego, pojęcia, stworzona została tamta gmatwanina fenomenologiczna, komplikując beznadziejnie problem struktury świadomości i zmuszając do przyjęcia trzech aż jej rodzajów: hyletycznej (zmysłowej, jakościowej), uczuciowej (bo są tacy, którzy i uczuć nie mogą do następstw jakości sprowadzić) i myślowej, przez rozciągnięcie pojęcia intencjonalności do wszystkich przeżyć, przyczem pojęcie to — dobre jako skrót psychologiczny (w „eidetycznej" nawet psychologji) — przez zbytnią ekstensję swoją traci wszelką wartość i staje się pojęciem pustem, zastępującem pojęcie świadomości wogóle, bez przyjęcia jedności osobowości jako faktu pierwotnego. Nic nie jest mi bardziej wrogiem jako absolutyście w znaczeniu powyższem, jak sprowadzanie prawdziwości koncepcji filozoficznych do typologji i charakterologji Kretschmera (którą w psychologji i w życiu tak cenię) jak i do kompleksów freudowskich, które w badaniu indywidualnej psychologji mają tak wielką wartość. Poprostu gąszcz niezrozumień i nieporozumień.

Jeszcze parę słów w kwestji pojęć: nie przyjmując odrębnej intencjonalnej świadomości dla objaśnienia myślenia, twierdzę, że pojęcie nie jest czemś prostem i że nie ono właśnie ma znaczenie. tylko że znaczenie ma znak i że **właśnie znak o pewnem znaczeniu jest pojęciem**. Pojęcie zaś znaczenia rozdziela się na pojęcia: odpowiednika pojęcia (którym może być czasem sama definicja) i kompleksu znaczeniowego prywatnego, to jest całości tego, co w danej świadomości zamagazynowanem zostało w związku z uczeniem się znaczenia danego znaku: n. p. wszystkie obrazy pamięciowe dotyczące konia, przy uczeniu się znaczenia dźwięku K - O - Ń, lub pisanego, czy drukowanego znaku. W ten sposób rozumiem sprowadzalność procesów myślowych do następstw jakości, przyczem pojęcie prawd poza-czasowych i istnienia znaczeń pojęć, istniejących jakby w jakimś idealnym bycie, otrzymuje zupełnie zrozumiałe znaczenie, a mianowicie, że pewne Istnienia Poszczególne operujące znakami muszą — na mocy tego, że Istnienie, jest takie, a nie inne — dojść do takich właśnie kombinacji, znaków, o takich znaczeniach. Samo tajemnicze dla Husserla „znaczenie" sprowadza się do stałego podporządkowania pewnych kompleksów znaczeniowych prywatnych do odpowiednik[illegible]. Wszystkie twierdzenia Husserla mogą być ważne, tylko muszą zostać przetłumaczone na inny język, przyczem pewne pojęcia trzeba wyrazić w innych ogólniejszych terminach.

Otóż przy procesach sprowadzania (czysto pojęciowego) wcale nie wychodzę od nierozkładalnych elementów (fałszywe wyjście z bezpośrednio danych Macha), tylko stwierdzam, że takie „istności" jak procesy myślowe i uczucia, a dalej przedmioty świata zewnętrznego dają się myślowo rozłożyć najprzód na kompleksy jakości (te istnieją jeszcze rzeczywiście samodzielnie) a dalej na same jakości elementarne, złożone (zawsze mające obok „żywej" jakości związaną z nią „jakość formalną" (Gestaltqualität), stanowiące dopiero niesamodzielnie — tylko pojęciowo wyodrębnialne — części naszych przeżyć i przedmiotów, które w pewien sposób do mniej lub więcej prawidłowego związku jakości sprowadzić się dają. W tem sposób — jak to pierwszy wykazał Mach — pogląd fizykalny daje się wyrazić w terminach poglądu psychologistycznego.

Nigdy nie byłem „zapatrzony" w żaden związek funkcjonalny „każdej plamy czy dźwięku" z pojęciami — nigdy, a tembardziej „od dziecka", jak to twierdzi pan U. Wogóle jest to cały szereg nonsensów z trudem wymyślonych i mnie imputowanych, aby módz robić to całe niesmaczne przedstawienie przed nic nie rozumiejącą publicznością, która myśli sobie na tle mojej t. zw. przezemnie „negatywnej sławy": „nareszcie znalazł się mądry człowiek i dał łupnia przeklętemu Witkiewiczowi". Tu chodzi tylko o ton, którym to jest napisane, bo przecie treści tego co pisze pan U. nikt zrozumieć nie jest w stanie, **nikt może oprócz mnie,** który jeszcze ma cierpliwość domyślać się tego, co pan U. **chciał** powiedzieć, lecz wyrazić nie potrafił.

Jądrem mego biologicznego materjalizmu nie jest to, że intelekt powstaje przez zespalanie jakości (jak rozumiem kwestję pojęć wyjaśniłem poprzednio) tylko to, że całe istnienie składać się musi z Istnień Poszczególnych (istot żywych) czasowo-przestrzennie istniejących samych dla siebie, jako rozciągłości z trwaniami jedności stanowiących, ponieważ tylko takim istnieniom możemy przypisać byt sam w sobie, niezależny od tego, czy będzie on istnieniem dla kogoś innego, czy nie. Mamy dane kompleksy jakości, w których wyodrębniamy te ostatnie jako elementy, ale nikt nie mówi o budowaniu czegoś z jakości jak z cegiełek, bo przedewszystkiem bez jedności osobowości danej bezpośrednio u podstawy wszystkiego, ani jej, ani żadnej jedności od niej pochodnej (jedności przedmiotu, zjawiska, myśli, uczucia) nie możnaby zbudować. Właśnie, że ja, w przeciwieństwie do psychologistów i fenomenologistów mówię o „żywej psychice", o danem jednem samem dla siebie, jedynem zawsze Istnieniu Poszczególnem, nie zastępując go ani pojęciem „związku", ani „aktu" i tym podobnemi „pojęciowemi maskami", pod któremi to jedność osobowości „odmetafizyczniona" niejako, podawaną bywa w filozofjach, „bardziej naukowych" t. zn. biorących przykład z fizyki, która musi z założenia swego eliminować osobowość w granicy zupełnie. Wyprowadzenie genezy mojego poglądu z tego, że programowo chciałem zrobić coś przeciwnego, niż pójść dalej niż Bergson i Husserl (wymawianie przez pana U. tych dwóch imion jednym tchem, imion symbolizujących rzeczy tak przeciwne jak niebo i piekło, już wiele mówi — z jednej strony istnieje przecie zupełny blagier (Bergson), z drugiej — mędrzec, który może się w czemś mylić) — jest szczytem nonsensu. Intelekt oczywiście nie zawiera w żaden sposób rzeczywistości, tylko polega na operowaniu stworzonemi przez siebie znakami, przyporządkowanemi do rzeczywistości, daje opis, a nie poznanie. Dlatego według mnie nie powinno się mówić o teorji poznania, tylko o teorji opisu — i to zarówno w naukach ścisłych, jak i w filozofji. Pewno że dla mnie intelekt „nie tworzy, ani nie utrzymuje osobowości", tylko osobowość ta (ta sama w istocie swej u wymoczka, co u mnie i u pana U.), jest podłożem powstania wszystkiego, a więc i intelektu — wszystkiego dla niej, z wyjątkiem innych osobowości poza nią istniejących. Co znaczy twierdzenie, że inne jakości „leżały u początku świata, a inne są u teraźniejszego człowieka" — chyba nikt nie potrafi zrozumieć, o ile nie jest to banalne stwierdzenie, że jeśli świat był stworzony, to inny był od obecnego choćby w czasie. Chyba to jest największe „pomylenie klepek", o którem pisze pan U. Pierwotna świadomość musi być świadomością jedności ciała, to jest kompleksu dotykowych czuć wewnętrznych i zewnętrznych — wszystko inne jest nadbudową już nie konieczną dla założenia samego istnienia żywego stworu, ale na tym samym opartą schemacie, wyrastającą w związku z komplikowaniem się organizmów, aż do wypadku naszego, w którym myślenie obrazowe zamieniło się w myślenie przy pomocy znaków, o określonych znaczeniach.

Oczywiście, że „ze skorupek nie zbuduję całej lalki, ani żywego dziecka" i w ten sposób nigdy nie mówiłem o jakościach, jako o oddzielnie, a nie w kompleksach, istniejących elementach i nie rozumiem czemu jakość jest „kategorją wulgarną". Tu nie chodzi o wulgarność i subtelność, tylko o prawdę. Ale prawda nie może wyłonić się z samej dyskusji z panem U. jako takiej, bez mojego wykładu moich poglądów. Istotne myślenie różni się tem od nieistotnego, że jest wewnętrznie zgodne ze samem sobą, jest logiczne (selfconsistent), a po drugie, że jest mniej lub więcej adekwatne z pewną rzeczywistością, z której ma zdać sprawę. Myślenie pana U. w stosunku do mnie jest nieistotne, bo pan U. operuje fikcyjnym mną, którego stworzył dla swej uciechy i uciechy intelektualnej gawiedzi, która nic nie rozumiejąc, pomyśli sobie: „a to go zajechał — no, no — tęgi chłop" — ale zwycięstwo to jest właśnie czysto „werbalne" a nie istotne. Zarzucenie mi braku wiary w intelekt jest już zwykłą bezczelnością. Wywróciwszy kota ogonem pan U. myśli, że każdy uwierzy jego gołosłownym zapewnieniom opierającym się na insynuacji, imputowaniu nieistniejących w czyimś systemie koncepcji i fałszowaniu cudzych myśli, aby potem przed tłumem odnosić nad niemi papierowe zwycięstwo.

Rzeczywistością nie rządzą absolutnie konieczne prawa (t. zn. że fizyka jest przybliżona) o ile za rzeczywistość uznamy stworzenia żywe. Ale nie-konieczność absolutna, a przypadkowość to dwie rzeczy różne.

Szczytem megalomanji i afronterji jest skonstatowanie rzekomego faktu, że tak jak ja, myśli polski kupiec, polityk, artysta, **profesor uniwersytetu,** Słonimski, Bandrowski, Szaniawski i djabli wiedzą jeszcze kto. Gdyby tak myślał każdy i gdybym był wyrazicielem ogólnej myśli polskiej inteligencji, to nie byłbym najbardziej może intelektualnie osamotnionem w naszym kraju indywiduum. Pan U. jednem pociągnięciem swego wszechmogącego w jego wyobraźni pióra, wznosi się nagle w jakieś niesłychane wyżyny, szybuje ponad całą polską inteligencją w jej wszystkich przejawach, sprowadzając ją w gruncie rzeczy do jednego, niby mojego fikcyjnego systemu, który sam wymyślił.

Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że geneza tego artykułu jest mniej więcej taka: jestem dość znanym, a do tego dostatecznie ogólnie nieuznanym i nielubianym (można rzec bez megalomanji przez pewne typy nawet nienawidzonym). Dobrze jest młodemu człowiekowi, chcącemu zacząć być czemś w świecie literatury, rozpocząć karjerę od bezprzytomnego rzucenia się na mnie — odrazu ma uzyskaną sympatję we wszystkich obozach myśli polskiej. Jestem doskonałym do tego celu objektem — ale proceder taki nie jest ładny. Opieram to twierdzenie na tem, że właśnie pewne błyski inteligencji pana U. przemawiają za tem, że raczej udaje niezrozumienie wielu rzeczy, niż ich nie rozumie istotnie, aby móc następnie imputować mi rzeczy obce mi i popisywać się przed publicznością pozornem ich przezwyciężeniem.

Osła w rzędem temu, kto zrozumie, jaki jest pogląd filozoficzny samego pana U. i przedstawi go zrozumiale na podstawie jego artykułu. Czasami miałem wrażenie, czytając drugi raz elukubrację pana U., że jest ona napisana umyślnie dla witz'a, aby nabrać mnie na poważną odpowiedź, a następnie skompromitować ogłoszeniem, że to było nabieranie.

S. I. Witkiewicz.

[1] Używam formy tej nie jako wyrazu lekceważenia, tylko poprostu jako skrótu.

[2] Uważam, że jeśli Ministerjum W. R. i O. P. „zasiliło" wydanie tak dziwnej fantasmagorji, jak „Wielość Rzeczywistości" Chwistka, to moja praca, mimo że nie jestem Doktorem i Profesorem Uniwersytetu mogłaby być również w ten sposób zasilona, mimo że daleko jej do dziwności pomysłów wymienionego znakomitego logistyka.

ZBIGNIEW UNIŁOWSKI

Upadek logiki

Ucisk bezbrzeżnej tęsknoty za obszarem dali morskiej, — granatowem sitem nieba iskrzącego się gwiazdami nocy letniej, za fantastycznemi cieniami głazów lizanych falami przypływów, za owym słonym zapachem wietrznym, co płuca uczuciem absolutnej swobody przenika, wreszcie potwornie gorączkowa monotonja oczekiwania na sen, dręczyły więźnia celi numer sto pięć.

Przez kwadrat okienka we drzwiach ciężko okutych, wpadał do celi pas świetlny. Po pasie tym posuwał się tam i z powrotem człowiek zgarbiony, z rękami — na skutek przyzwyczajenia chyba — założonem dotyłu. Na tym to kilkumetrowym szlaku, więzień przechodził w ciągu nocy całe obszary. Wokół panowała chłodna, stężała ciemność.

Wyczuciem, wysubtelnionem wyczuciem istoty pozbawionej możności władania przestrzenią i wymiany myśli z współbiesiadnikami cudownego stołu życia, więzień zdawał sobie sprawę z ilości godzin, co upłynęły od północy poprzedniej. Wiedział, że jest jedenasta i w istocie mylił się o kilka minut zaledwie. Skądże płynęły te prądy ożywcze, niepozwalające nerwom zapaść w stan odrętwienia, w bezwład, z któregoby skorzystał sen aby pogrążyć człowieka w swem pozaziemstwie? Od dziewięćdziesięciu sześciu godzin, to znaczy od chwili, kiedy się dowiedział, że póki serce jego bić, a myśl istnieć będzie, nie ujrzy nic poza wilgotnym sześcianem swej celi i posępną twarzą karmiącego manekina-dozorcy, — od chwili tej skazaniec uczuł w swej głowie jakiś terkotliwy aparat wizyjny, dostarczający oczom — wbrew woli — najpiękniejszych pejzaży minionego życia. Oh, bo czegóż tam nie było? Wargi tej, co mieszkała w sercu jego, uśmiech matki, gibotanie łodzi na falach szalejących w słońcu, obfity połów, nierealne działanie cierpkiego wina w towarzystwie najmilszych kompanów, ba! — szczęście dnia niedzielnego i pewien obłok czasu burzy, kształtem swym czarnego anioła przypominający. Najróżniejsze możliwości korzystania z tego, co już przeszło, rozwijał ów aparat przed wzrokiem skazańca. Wymyślne sytuacyjki, drobne uroki życia, których się podczas swobody nie zauważa, tutaj jaskrawo ukazywał ów szał imaginacyjny, co się w mózgu skazanego na dożywocie usadowił.

I chyba wszelkie narkotyki świata nie zdołałyby uspokoić tego niepotrzebnie twórczego rozpasania. Gdybyż mógł oszaleć, zapaść w otchłań niezrozumienia swej doli. Lecz nic. Gdzieś w jednym z zawojów płata mózgowego chytrze ukrył się pewien czynnik regulujący wiry prądów nerwowych. Pracowicie rozdzielał je, rozplatał, jeżeli na chwilę zetknęły się ze sobą pomieszały i poczyniły ulgę braku logiki, co nieubłaganie tętniła, silną dłonią trzymając cugle rozwydrzonych nonsensów.

Tam, za drzwiami zgrzytało żelazo podkutych butów strażnika. Kamienna posadzka żałośnie dźwięczała pod niespieszącemi się krokami. Potworny akompanjament do żałobnego śpiewu wolności skazańca.

Cisza jednak była tak wielka, że oddziaływała na nerwy z równym największemu hałasowi skutkiem. Więzień przysunął twarz, bladą bardzo, do okratowanego w drzwiach otworu i w posępnej poświacie tlejącej się gdzieś u sufitu kurytarza lampki błysnęły oczy: niby dwa czarne, ruchliwe żuki. Patrzył na przeciwległą, zielonkawą pleśnią porosłą ścianę. Ale brunatna nierówność głazu nie odwróciła uwagi od plastycznych wizyj, co wychodziły z wnętrza głowy i kolorowemi płatami trwały przed oczami. Ha, przeciwnie! — Właśnie na wyłomie ukazał się pewien obraz radosny: oto rybacy sieci naprawiają, psotnik Jozue wsadził do kurty starego Mirona małą rybkę, co się między dwa oka sieci zaplątała. Pracują w słońcu. Tak, ooouhuu!! Czyż już wszystko się przeciw mnie sprzysięgło?!

Nagle obraz, wprawdzie inny nieco, wpakował się pod zamknięte powieki, i trwał tam. Chude palce uchwyciły zardzewiałe pręty żelazne w okienku. Całe ciało zwisło i broda oparła się o zakurzone pobrzeże judasza. Oczy ujrzały coś, co już naprawdę nie było wizją.

Akurat naprzeciw, przy brunatnej ścianie, stanął człowiek i oparł się o nią plecami. Był to strażnik więzienny, sprawujący dyżur nocny. Zmęczył go widać spacer po chłodnym i śmierdzącym wyziewami lochów kurytarzu. Karabin postawił tuż obok i kamienna płyta posadzki jęknęła pod żelaznym trzewiczkiem kolby. Człowiek miał wesołą, pyzatą twarz, słabym zarostem pokrytą. Tłuste policzki ostro rysowały się w oleistem świetle lampki. I. zdawaćby się mogło, że naskutek dziwnego załamania się promieni świetlnych. jedno oko błyszczało życiem wprost niesamowitem, podczas gdy drugie tkwiło martwo w oczodole. Stojąc tak, człowiek szpic zabłoconego buta oparł o posadzkę, mając jednocześnie lewą nogę wyprostowaną. Nie wiedział, że śledziły go przymglone od rozkoszy realizmu — oczy więźnia. Zdjął czapkę. z blachą otoczonym daszkiem, i powiesił ją na lufie karabinu. Postrzępioną szmatą, wyjętą z kieszeni portek, wytarł czoło, odsuwając z niego sklejone w kosmyki włosy. Odsapnął głęboko i dłuższą chwilę stał nieruchomo z głową odchyloną w prawo i lekko opuszczoną ku ramieniu. Przemknęło mu nieco myśli przez głowę, dziwnych, dawnych wspomnień, z czasów kiedy to w wojnach różnych brał udział: tak, raniony przecież był niejednokrotnie, kontuzjowany nawet, zato też dostał posadę w tem odludnem i ciężkiem więzieniu. W zamyśleniu dłubał w nosie, ale raptem, jakby mu jakiś pomysł strzelił do głowy, przybliżył palce do owego tak martwo wyglądającego oka i spokojnym lecz wprawnym ruchem wyjął je i począł czyścić rękawem, poczem przyjrzał mu się, mrużąc drugie oko. Na twarzy jego ukazał się grymas człowieka, którego dręczy ponure wspomnienie. Trzymając w dalszym ciągu oko w trzech palcach prawej ręki począł niem uderzać w czaszkę, coś tak, powyżej skroni. Słychać było wyraźne stukanie. jakgdyby twardym przedmiotem, szkłem może, uderzać o metal jakiś. Przerwał owe pukanie, jął natomiast podrzucać w ręku swe oko, łapiąc je w powietrzu. Raptem usłyszał stłumiony krzyk i osunięcie się ciała. Spojrzał naprzeciw, ale nic nie ujrzał, zato oko mu wypadło z ręki i potoczyło się po posdzce. Niżej było ciemniej, więc gramolił się niezgrabnie, szurając butami po posadzce — pochylony. Szukał długą chwilę i wreszcie znalazł. Mianowicie zetknął się z tem okiem, następując nań swym podkutym butem. Rozległ się zgrzyt, bolesne dla nerwów piszczenie szkła przygniatanego do kamienia. Człowiek krzyknął głośno, zakrywając dłonią pusty oczodół. W dalszych celach słychać było poruszenie. Nałożył szybko czapkę i karabin przewiesił przez ramię. Pobiegł do celi naprzeciw, przecie słyszał tam krzyk jakiś. Długo i nerwowo otwierał drzwi. Ujrzał więźnia, leżącego na podłodze bez przytomności. Przyszedł jeszcze ktoś drugi, też z karabinem, kto pomógł mu przenieść ciało do sali dla chorych. Skazaniec celi sto pięć był długo nieprzytomny, ale nad ranem przyszedł zupełnie do siebie. Groził tylko wszystkim, że wyjmie sobie żołądek, sam do niego zupy naleje, i włoży go do środka. Gdy patrzył, mrużył oczy. Był spokojny, tylko nie mógł pojąć, że mu zmniejszono karę do lat dziesięciu. Gdy mu to mówiono, powiadał, że nic nie wie wogóle o żadnej karze, i niechaj mu życia nie zmieniają. Chciałby patrzeć na pewną ścianę, gdzie stał człowiek, który tak jak on potrafi z siebie wyjmować różne przedmioty. Tam w mózgu, wiele rzeczy zniszczył pewien widok, to też panowała cisza i spokój, — jak po burzy.

Sprawa Miriama w świetle prawa

Poniżej zamieszczamy artykuł, nadesłany nam przez jednego z prawników, pracującego nad zagadnieniem prawa autorskiego.

Ożywiona dyskusja publiczna, jaka wywiązała się w sprawie wysuniętych na łamach „Zetu" przez J. Brauna zarzutów pod adresem p. Zenona Przesmyckiego, niezależnie od konkretnego zagadnienia wydobycia z ukrycia bezcennych — jak się należy spodziewać — skarbów myśli i ducha do dziś dnia w należyty sposób nie udostępnionych, — przyczynić się może do wyświetlenia pewnego zasadniczego problemu, interesującego nietylko pisarza, ale i prawnika, a także niewątpliwie szerszy ogół kulturalny.

W dyskusji tej uderzyło mnie mianowicie, zarysowanie się dwu przeciwstawnych poglądów. P. Jerzy Braun pisze w artykule p. t. „Boa dusiciel" („Zet" nr. 4), który wywołał całą tę burzę, następujące charakterystyczne słowa: „Przesmycki posiada wszystkie niemal pisma i rękopisy Wrońskiego... z którą to spuścizną postępuje sobie tak, **jakby właścicielem jej był** on sam, a nie **naród** polski". Rozumieć by przeto należało, że zdaniem p. Jerzego Brauna prawdziwym właścicielem zebranych pism i rękopisów nie jest sam zbieracz, p. Przesmycki, ale naród polski, którego p. Przesmycki jest jakby depozytarjuszem.

„Nie rozumie" zaś takiego postawienia sprawy p. Zaniewicki, który w artykule p. t. „Nie pozwalam" („Dzień Polski" nr. 154) występując w obronie Miriama pisze co następuje:

„Czytamy i nie rozumiemy. Więc, jakto? Ktoś lata całe przeżył na nieustannej pogoni za ginącemi na wieki rękopisami Wrońskiego: ktoś rozsyłał setki listów, ogłaszał po pismach poszukiwane prace, od ust sobie odejmował, popadał w długi i niedostatki, byle odszukać, odkupić i do Polski przywieść spuściznę po naszym natchnionym myślicielu, ktoś ślęczał po nocach, wybierał, kleił, rekonstruował tekst, chcąc myśli Wrońskiego przekazać potomnym i oto nadchodzi p. Braun i zaprzecza mu **prawa własności** do rękopisów, **przysądzając** je wspaniałomyślnie... **narodowi**".

P. Zaniewicki daje tu, jak widzimy,* niedwuznaczny wyraz przeświadczeniu, że rękopisy te i t. d. stanowią bezsporny przedmiot prawa własności p. Przesmyckiego.

Tu zdaniem mojem leży sedno sporu. Rozumiem oburzenie p. Zaniewickiego, skoro on z takiego założenia wychodzi.

Czy jednak założenie to jest trafne?

Pomijając już nawet kwestję, że omawiane pisma i rękopisy udało się zbieraczowi zdobyć niewątpliwie dzięki temu, że jak powiada Żeromski — występował on w charakterze „ambasadora" nauki i narodu polskiego — stwierdzić pragnę, że takie postawienie sprawy nawet z punktu widzenia prawnego uznać należy za conajmniej jednostronne. Omawiane dzieła potraktowane bowiem zostały ściśle i to wyłącznie, z punktu widzenia **prawa rzeczowego**, co stanowi zgoła nienowoczesne podejście do zagadnienia. Proszę mi nie mieć za złe, jeśli dla uproszczenia posłużę się tu pewnego rodzaju skrótami myślowemi (których zresztą nie chcę imputować p. Zaniewickiemu). Jest to zdaniem mojem mniej więcej, tak, jakbyśmy traktowali wspomniane pisma, jako przedmioty posiadające wyłącznie wartość realną, a więc np. tak, jak się traktuje autograf stare exlibris, egzemplarz będący białym krukiem itd. I z tego punktu widzenia nie można się dziwić p. Zaniewickiemu, że on „nie rozumie", jak można p. Przesmyckiemu odmawiać prawa własności tego, czy innego, zdobytego jego staraniem, czy kosztem rękopisu. Ale wszakże nie wolno zapominać o stokroć ważniejszej, i istotniejszej wartości jaką przedstawia **myśl, treść** i ideja tchnięta w dany objekt prawa własności. I prawo o tem nie zapomina i zapomnieć nie może.

Zarysowały się więc dwa poglądy: jeden, który mniej licząc się — pozwolę sobie nawet zaryzykować twierdzenie — zapominając o treści, myśli o formie i z punktu widzenia świętości prawa własności upraszcza sobie rzecz znakomicie przez twierdzenie: co nabyłeś w sposób prawem przewidziany — to twoje i możesz z tem zrobić co ci się podoba, ogłosić, schować, nawet zniszczyć: drugi, przechodząc do porządku nad temi wątpliwościami, (znowuż zdaje mi się — zapominając o nich), jakby w myśl zasady de minimis non curatur, interesuje się tylko tem, co uważa za istotne — treścią.

Nie zamierzam tu deklarować swej sympatji dla jednego z tych dwu poglądów. Pragnę natomiast z punktu widzenia prawniczego rzucić tezę, po linji której winno zdaniem mojem pójść rozwiązanie:

W świetle naszego systemu prawnomoralnego nie może być negowane zasadnicze prawo własności osoby, która w sposób prawidłowy doszła do władania daną rzeczą (w tym wypadku dziełem nauki i sztuki). Ale jej prawo do władania tą rzeczą musi być **ograniczone** pewnemi wyższemi, idealnemi prawami. Posłużę się analogją: Niektóre kodeksy cywilne zawierają przepis iż nie wolno ze swego prawa korzystać jedynie w celu wyrządzenia szkody drugiemu (par. 226 kod. cyw. obowiązującego na ziemiach byłego zaboru pruskiego i in.).

Należałoby zastanowić się, czy wogóle w drodze ustawodawczej nie powinna być wprowadzona norma, ograniczająca prawa własności jednostek, pod kątem widzenia wyższego interesu publicznego, a to w szczególności w odniesieniu do dzieł nauki i sztuki, analogicznie do obowiązującego już rozporządzenia Prezydenta R. P. o ochronie zabytków.

Nasuwa się atoli pytanie, czy prawo, czy państwo jest kompetentne do tego, by czuwać nad dziełami zmarłych twórców i baczyć np. by one były udostępniane potomnym. Otóż pozwolę sobie przytoczyć znamienne, a pełne głębokiej treści słowa prof. Fryderyka Zolla*), twórcy pierwszego projektu polskiego prawa autorskiego, świadczące chlubnie o wysokiem zrozumieniu zagadnień z tej dziedziny u naszego znakomitego prawnika.

Rozważając kwestję praw autorskich (osobistych) zmarłych twórców, nawiązuje prof. Zoll do słów ody Horacego „Exegi monumentum": „Non omnis moriar, multaque pars mei — Vitabit Libitinam", pisząc:

„Tak jest, Horacy nie umarł wszystek, tak samo nie umarł Mickiewicz, Sienkiewicz, Dante, Shakespare, Moliere, Beethoven, Mozart. Oni ciągle wśród nas żyją, oni do nas przemawiają swemi arcydziełami, oni nas uczą, kształcą, podnoszą na duchu, rozwijają nasze uczucia i jesteśmy im ciągle za to obowiązani do wdzięczności. Z tem prawo musi się liczyć: Musi się ono liczyć także z tem, że interesy osobiste zmarłych twórców pozostają nadal aktualnemi: ich miłość dla tych dzieł, ich sława autorska, sukces ich ideji, w dziele wyrażonych i utrwalonych, siła ich propagandy, ekspanzji, uszczęśliwiania, pouczania i podnoszenia ludzi — i dlatego interesy te powinny doznawać nadal ochrony prawnej. Prawo baczyć też musi, by ci Wielcy Zmarli do nas przemawiać mogli — jak za swego życia — w czystej, nieskazitelnej niczem formie, że tego wymaga nietylko pietyzm dla ich pamięci, ale także interes kulturalny społeczeństwa, a nawet całej ludzkości. A to, że Oni nie żyją fizycznie i nie spełniają takich funkcyj, jakie spełniać mogą różni, żyjący wśród nas autorowie, nie może powstrzymywać prawa od spełnienia swego zadania. Prawo ma na swym warsztacie środki różne, by stworzyć dla wielkich celów potrzebną ochronę prawną: Społeczne istoty, osoby prawne, nawet fikcje itp.

Otóż i tutaj prawo takiemi środkami musi pomóc".

Prof. Zoll porusza wogóle kwestję ewentualnej kompetencji państwa do zastępowania interesów idealnych twórcy wówczas, gdy ten już nie żyje, a niema osób przez prawo autorskie do tego zastępstwa powołanych i pisze:

„Prawo pozytywne musi... licząc się z rzeczywistością, a nie z żadnym czczym frazesem, że utwory zmarłych mogą być i bywają nieśmiertelne, przyjąć pozytywną normę, że autorskie prawa osobiste mimo śmierci twórców nadal istnieją i to tak długo, jak długo spuścizna duchowa tych zmarłych może być dla ludzkości żywą i aktualną i dlatego wymaga ochrony przed pogwałceniem.

Inna potem wysuwa się kwestja, mianowicie, kto ma być powołany do zastępstwa tej spuścizny. Tu mam poważne wątpliwości, czy nasza ustawa obrała całkiem właściwą drogę. Trafny jest jej przepis, że reprezentantem interesów duchowych twórcy ma być przedewszystkiem ten, kogo sam twórca powołał; można też zgodzić się na posiłkowe powołanie przez ustawę osób wymienionych w art. 59. Ale nie sądzę, żeby to mogło wystarczyć. Wszak osoby w art. 59-tym wymienione mogą swym poziomem kulturalnym bynajmniej nie dorastać do zadań, jakie im ustawa powierza. Zresztą może takich osób nie być wcale. A pamiętajmy, że interes duchowy, łączący się z pamięcią zmarłego twórcy i z pietyzmem, którym się otacza tę pamięć, traci z czasem na potędze, a tem silniej występuje czynnik inny: interes publiczny całego społeczeństwa — czynnik trwały i aktualny tak długo, dopóki trwa rozpowszechnianie dzieł zmarłych twórców, a tem samem chodzi o to, by te dzieła rozpowszechniano w formie nieskalanej.

Oto powody, dla których w pierwotnym swym projekcie proponowałem w art. 62-im obok członków rodziny, wymienionych w ustawie art. 59, i niezależnie od ich interwencji, aby Ministerstwo sztuki i kultury (wówczas istniejące) powołane zostało do wykonywania praw osobistych twórcy po jego śmierci. Wnioski moje nie znalazły jednak dostatecznego poparcia w Komisji Kodyfikacyjnej, może głównie dlatego, że zaskarżanie praw osobistych po śmierci twórcy w interesie publicznym, chciałem powierzyć Prokuratorji Generalnej, działającej z polecenia Ministerstwa, co z powodów formalnych napotkało na zarzuty... — Pocieszyłem się przysłowiem, że „nie odrazu Kraków zbudowano".

Nie odrazu Kraków zbudowano. Lecz w świadomości zbiorowej świata współczesnego dojrzewa i umacnia się przeświadczenie, że o ile trudy i zabiegi w zdobywaniu wartości duchowych należą do nas, o tyle owoce naszej pracy i myśli — do wszystkich ludzi. Za trud płaci nam społeczeństwo dobrami materjalnemi, szacunkiem i sławą; myśli jednak, idei zawartej w dziełach nie można opłacić niczem.

Dlatego i w danym wypadku własnością Miriama jest tylko trud włożony w gromadzenie pism genjuszów, dostatecznie zresztą wynagrodzony uznaniem całego narodu. Natomiast treść tych pism i dzieł, zgodnie z intencją ich twórców, jest własnością ludzkości.

*) Podkreślenia moje.

*) Dr. Fryderyk Zoll: „Prawo autorskie".

Chrześcijaństwo — religja rozumowa

Zaznaczony w artykule wstępnym nru 4-go i w szeregu innych artykułów pogląd nasz, że chrześcijaństwo jest religją rozumową, a nie uczuciową tylko, lub kontemplacyjną, oraz podkreślenie elementu **wolności** w Nowym Testamencie w stosunku do elementu **konieczności** w Starym Testamencie — nie przeminęły bez echa. Zapytywano nas, jak rozumiemy ten problemat. Jako pierwszą, wstępną niejako odpowiedź, drukujemy zestawienie charakterystycznych cytatów z Nowego Testamentu, dokonane przez Czesława Jastrzębca-Kozłowskiego, a mające unaocznić cechę rozumową doktryny chrześcijańskiej.

W dziełach swych, Hoene-Wroński wielokrotnie zaznacza głęboką cześć dla chrześcijaństwa, które uważa on nietylko za jedyną prawdziwą religję, lecz i za najbardziej rozumowe ze wszystkich znanych człowiekowi Objawień. W swych **Prolegomenach do Mesjanizmu** przytacza nasz mędrzec następujące piękne słowa z „Dykcjonarza Teologji" Bergiera:

„Gdy należy wierzyć wiarą boską we wszystko, co Bóg objawił, zanim przykładać wiarę do objawienia, należy już być przekonanym, że jest Bóg. Prawda, tą, jaką nam Rozum wskazuje, jest progiem wstępnym, bez którego nie może zachodzić Wiara". (Proleg., t. III. str. 49 polskiego przekładu).

Czytelnika, który przywykł bardzo skrzętnie odgraniczać religję od filozofji, zdziwi zapewne następujący, jakże znamienny cytat z dokumentu religijnego:

„Si comparemus intellectus, qui spiritus dicitur, ad caeteras animae partes... intellectus est superior et dignior et Deo similior". (Symbolum Athanasii).

Często się słyszy zdanie, że Pismo Święte wyłączną przywiązuje wagę do cnoty, zupełnie pomijając, czy nawet wrogo traktując umysł. Jest to sąd nietylko fałszywy z gruntu, ale i wysoce szkodliwy; z pewnością on to stał się jedną z głównych przyczyn niezaprzeczalnego zobojętnienia religijnego Europy w ostatnich dwu stuleciach. Niedawno, odczytując raz jeszcze cały Nowy Testament, postanowiłem sobie zestawić wszystkie miejsca, wyraźnie kłam zadające błędnemu temu mniemaniu. Myślę, że przytoczenie ich tutaj będzie nie bez pożytku.

MATEUSZ:

Bądźcie tedy **mądremi** jako wężowie... Nie jest nic skrytego, coby odkryte być nie miało: ani tajemnego, czegoby **wiedzieć** nie miano. (X 16, 26). Usprawiedliwiona jest **mądrość** od synów swoich. XI 19). Dla tego im w podobieństwie mówię, iż widząc nie widzą, i słysząc nie słyszą, ani **rozumieją**... A który jest wsiany w ziemię dobrą: jest ten który słucha słowa, i **rozumie**, i owoc przynosi, i czyni jedno setny, a drugie sześćdziesiątny, a drugie trzydziestny. (XIII. 13. 23). A wezwawszy do siebie rzeszej, rzekł im: Słuchajcie, a **rozumiejcie**. (XV 10). Kto może **pojąć**, niechaj pojmuje XIX 12). Nauczycielu, wiemy iżeś jest **prawdziwy**, i drogi Bożej w **prawdzie** nauczasz... A usłyszawszy rzesze, dziwowały się **nauce** jego... Będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego, i ze wszystkiej duszy twojej, i ze wszystkiej **myśli** twojej. Toć jest najpierwsze przykazanie (XXII 16, 33, 37). Biada wam Doktorowie i Pharyzeuszowie obłudnicy: iż dawacie dziesięcinę z miętki, i z anyżu, i z kminu, a opuściliście co ważniejszego jest w zakonie: **sąd** i miłosierdzie i wiarę. (XXIII 23). Kto czyta niech **rozumie** (XIV 16).

MAREK:

Albowiem nic nie jest tajemnego, coby się **objawić** nie miało; ani stało się skrytem, ale iżby na jaśnią wyszło. (IV 22). A wezwawszy zasię rzeszy, mówił im: Słuchajcie mnie wszyscy, a **zrozumiejcie**... Także i wy nie **rozumni** jesteście? nie **rozumiecie?**... (VII 14, 18). Izaż nie dlatego błądzicie, że nie **rozumiecie** pisma, ani mocy Bożej?... A będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego, i ze wszystkiej duszy twojej, i ze wszystkiego **umysłu** twego, i ze wszystkiej siły twojej. (XII 24, 30).

ŁUKASZ:

I usprawiedliwiona jest **mądrość** od wszystkich synów swoich. (VII 35). Albowiem niemasz tajemnej rzeczy, któraby się objawić nie miała, ani skrytej, któraby **poznana** nie była, i na jawią nie wyszła. (VIII 17). Będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego, i ze wszystkiej duszy twojej, i ze wszystkich sił twoich, i ze wszystkiej **myśli** twojej. (X 27). A niemasz nic zakrytego, coby się wyjawić nie miało: ani tajemnego, czegoby się nie **dowiedziano**. (XII, 2).

JAN:

Na początku było **Słowo** (Logos, Wiedza), a **Słowo** było u Boga, a Bogiem było **Słowo**. To było na początku u Boga. Wszystko się przez nie stało: a bez niego nic się nie stało... A **Słowo** ciałem się stało i mieszkało między nami... pełne łaski i **prawdy**... Albowiem zakon przez Mojżesza jest dan: łaska i **prawda** przez Jezusa Chrystusa się stała. (I 1 — 3, 14, 17). Wy chwalicie, co **niewiecie**; my chwalimy, co **wiemy**... Ale przychodzi godzina, i teraz jest, gdy prawdziwi chwalcy będą chwalić Ojca w duchu i w prawdzie. Bo i Ojciec takowych szuka, którzyby Go chwalili. Duch jest Bóg, a ci, którzy go chwalą, potrzeba, by go chwalili w duchu i w **prawdzie**. (IV 22 — 24). Jest napisano w Prorokach: I będą wszyscy **uczniami** Bożemi. Wszelki, kto słyszał od Ojca, i **nauczył** się, przychodzi do mnie. (VI 45). Chociaż ja świadectwo daję sam o sobie, **prawdziwe** jest świadectwo moje; bo **wiem**, zkądem przyszedł, i dokąd idę; lecz **wy** nie wiecie, zkąd przychodzę, albo dokąd idę. Wy wedle ciała sądzicie: ja nikogo nie sądzę. A jeźli ja sądzę, **sąd mój** jest **prawdziwy**... Gdy podniesiecie Syna Człowieczego, tedy **poznacie**, żem ja jest... Jako mię **nauczył** Ojciec, to mówię... **I poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi**... Lecz teraz szukacie mię zabić, człowieka, którym wam mówił **prawdę**... Czemu mowy mojej nie **zrozumiewacie?** iż nie możecie słuchać mowy mojej. Wy z ojca djabła jesteście: a pożądliwości ojca waszego czynić chcecie. On był mężobójca od początku, w **prawdzie** nie został; bo w nim niemasz **prawdy**. Gdy mówi kłamstwo, z własnego mówi: iż jest kłamcą, i ojciec jego. **A ja jeźli prawdę** mówię, nie wierzycie mi... A nie **poznaliście** go (Boga): ale ja go **znam**. I jeźlibych rzekł, że go nie **znam**, będę podobnym wam kłamcą. Ale go **znam**, i mowy jego strzegę. (VIII 14 — 16, 28, 32, 40, 43 — 45, 55). Jako mię **zna** Ojciec, i ja **znam** Ojca. (X 15) A ja prosić będę Ojca, a innego Pocieszyciela da wam, aby z wami mieszkał na wieki: **Ducha prawdy**, którego świat przyjąć nie może: bo go nie widzi, ani go zna. Lecz wy **poznacie** go... Pocieszyciel Duch Święty, którego Ojciec pośle w imię moje, on was wszystkiego **nauczy**; i przypomni wam wszystko, com kolwiek wam powiedział. (XIV 16 — 17, 26). Już was nie będę zwał sługami: bo sługa niewie, co czyni pan jego; lecz was nazwałem przyjacioły, bo wszystko, com słyszał od Ojca mego, **oznajmiłem** wam... A gdy przyjdzie Pocieszyciel, którego ja wam poślę od Ojca, Ducha **prawdy**, który od Ojca pochodzi: on o mnie świadectwo dawać będzie. (XV 15, 26). Gdy przyjdzie on Duch **prawdy**, **nauczy** was wszelkiej **prawdy**... Przychodzi godzina, gdy już nie przez przypowieści mówić wam będę, ale jawnie o Ojcu **oznajmię** wam... Teraz wiemy, że **wszystko wiesz**... dla tego wierzymy, żeś od Boga wyszedł. (XVI 13, 25, 30). A ten jest żywot wieczny, aby **poznali ciebie samego Boga prawdziwego**... Poświęć je w **prawdzie**. Mowa twoja jest **prawda**... A za nie ja poświęcam samego siebie: aby i oni byli poświęceni w **prawdzie**... Ojcze sprawiedliwy, świat cię nie **poznał**, a jam ciebie **poznał**: i ci co cię **poznali**, żeś ty mię posłał. I **oznajmiłem** im imię twoje, i **oznajmię**. (XVII 3, 17, 19, 25, 26). Jam się na to narodził i na tom przyszedł na świat abych świadectwo dał **prawdzie**. Wszelki, który jest z **prawdy**, słucha głosu mego. (XVIII 37).

DZIEJE APOSTOLSKIE:

I nie mogli się sprzeciwić **mądrości** i Duchowi, który mówił. (VI 10). Albowiem chodząc i patrząc na bałwany wasze, nalazłem też ołtarz, na którym było napisano: NIEZNAJOMEMU BOGU. Co tedy nie **znając** chwalicie, to ja wam opowiadam. (XVII 23). A Paweł: Nie szaleję, prawi cny Feste, ale **prawdy** i **trzeźwości** słowa **powiadam**. (XXVI 25).

DO RZYMIAN:

Bo gniew Boży objawia się z nieba na wszelką niepobożność i niesprawiedliwość ludzi tych, którzy **prawdę** Bożą w niesprawiedliwości zatrzymywają: ponieważ co jest **wiadomo** o Bogu, jest im jawno. Albowiem Bóg im objawił. Bo rzeczy jego niewidzialne, od stworzenia świata przez te rzeczy, które są uczynione, **zrozumiane**, bywają **poznane**... A jako im się nie podobało mieć w **znajomości** Boga: Bóg podał je w **umysł bezrozumny**. (I 18 — 20, 28) Który tedy **uczysz** drugiego, samego siebie nie **uczysz**. (II 21). Niemasz **rozumiejącego**, niemasz szukającego Boga. (III 11). Lecz widzę inszy zakon w członkach moich, sprzeciwiający się zakonowi **umysłu** mojego, i biorący mię w niewolą, w zakonie grzechu, który jest w członkach moich... Ja tedy sam **umysłem** służę zakonowi Bożemu, lecz ciałem zakonowi grzechu. (VII 23, 25). Albowiem którzy są wedle ciała, co jest ciała, **rozumieją**, lecz którzy są wedle ducha, co jest ducha **rozumieją**. Bo **mądrość** ciała jest śmierć: a **mądrość** ducha, żywot i pokój. Gdyż **mądrość** ciała, jest nieprzyjaciółką Bogu. (VIII 5 — 7). Proszę was tedy, bracia, przez miłosierdzie Boże, abyście wydawali ciała wasze ofiarą żywiącą, świętą, przyjemną Bogu, **rozumną** służbę waszą... Żadnemu złem za złe nie oddawając. **Przemyśliwając** to, coby było dobrego, **nietylko** przed Bogiem: ale też i przed wszystkiemi ludźmi. (XII 1, 17). Bo wasze posłuszeństwo rozsławiło się po wszystkich miejscach. Przeto się z was weselę. Ale chcę, abyście byli **mądremi** w dobrem... (XVI 19).

I. DO KORYNTJAN:

A **mądrość** nie wieku tego, ani książąt wieku tego, którzy się każą. Ale powiadamy **mądrość** Bożą w tajemnicy, która zakryta jest... Której żaden z książąt wieku tego nie **poznał**: Bo gdyby byli **poznali**, nigdyby byli chwały nie ukrzyżowali... lecz nam Bóg objawił przez Ducha swojego. Albowiem Duch wszystko wypatruje, i **głębokości Boże**. Bo któż z ludzi wie, co jest człowieczego, jedno duch człowieczy, który w nim jest? także też, co jest Bożego, nikt nie wie, jedno Duch Boży. A my nie wzięliśmy ducha tego świata, ale Ducha, który jest z Boga: abyśmy **wiedzieli**, co nam od Boga jest darowano. Co też opowiadamy, nie przez uczone słowa ludzkiej mądrości: ale przez **naukę** Ducha. (II 6 — 13). Wedle łaski Bożej, która mi jest dana, jako **mądry** budowniczy założyłem fundament... (III 10). A jeśli kto mniema, żeby co umiał, jeszcze **niewie, jako mu umieć potrzeba**. (VIII 2). Mówi, jako **mądrym**; wy sami **rozsądźcie**, co mówię. (X 15). Jednemu przez Ducha bywa dana mowa **mądrości**: a drugiemu mowa umieumiejętności, według tegoż Ducha. (XII 8). Albowiem po części **znamy**, i po części prorokujemy. Ale gdy przyjdzie, co jest doskonałego, co jest po części zniszczeje. Gdym był dziecięciem, mówiłem jako dziecię, **rozumiałem** jako dziecię, **myśliłem** jako dziecię. Lecz gdym się stał mężem, wyniszczyłem, co było dziecinnego. Teraz widzimy przez zwierciadło, przez podobieństwo: lecz w on czas twarzą w twarz. Teraz **znam** po części: lecz w on czas **poznam, jakom** i **poznany** jest. (XIII 9 — 12). A teraz, bracia, jeźlibych przyszedł do was, językami mówiąc: cóż wam pomogę, jeźli wam nie będę mówił albo przez objawienie, albo przez **umiejętność** albo przez proroctwo, albo przez **naukę?**... Także i wy, jeźlibyście językiem nie dali mowy znacznej: jakoż będzie **rozumiano** to, co się mówi? bo będziecie na wiatr mówiącemi... Bo jeźlibych się modlił językiem, duch się mój modli, lecz **rozumienie** moje bez pożytku zostaje. Cóż tedy jest? Modlić się będę duchem, modlić się będę i **rozumieniem**. Będę śpiewał duchem, będę śpiewał i rozumieniem... Ale w kościele wolę pięć słów **rozumieniem** mojem mówić, abych i drugie nauczył: aniżeli dziesięć tysięcy słów językiem. Bracia, nie stawajcie się **dziećmi rozumem**: ale bądźcie dziećmi złością: a **rozumem** doskonałymi **bądźcie**. (XIV 6, 9, 14 — 15, 19 — 20).

(Ciąg dalszy w nrze 9-tym).

Czesław Jastrzębiec-Kozłowski.

Dzieła Lenina

Lenin: Dzieła wybrane. Tom I. Warszawa 1932. Skł. gł. Dom Książki Polskiej. Str. 386.

Jest to pierwszy tom zbiorowego wydania pism Lenina, przełożonych z rosyjskiego oryginału. Składa się on z 2 części: I. Społeczno - rewolucyjne przesłanki pierwszej rewolucji rosyjskiej; II. Walka o hegemonję proletarjatu. W przygotowaniu: tom II-gi (walki ideologiczne przed r. 1905), tom III-ci (Rewolucja rosyjska lat 1905 - 1907), tom IV-ty (Lata reakcji i nowego wzniesienia), tom V-ty (Imperjalizm i wojna imperjalistyczna), tom VI-ty (Od rewolucji burżuazyjnej do rewolucji proletarjackiej (r. 1917) i „Materjalizm i empirjo - krytycyzm").

W miarę ukazywania się zapowiedzianych tomów tego wydawnictwa będziemy omawiali je w „Zecie", poczem na podstawie całokształtu działalności pisarskiej Lenina, podejmiemy gruntowną analizę krytyczną założeń teoretycznych i ideologicznych komunizmu. Ze względu na doniosłość problemu i dorywczy, prymitywny stosunek do niego, zarówno zwolenników tego systemu, jak i tych, co go usilnie zwalczają, rozszerzymy platformę krytyki, sięgając do czystego marksizmu, jako bazy ideowej socjalizmu i jego wtórnych prądów. Krytyka materjalizmu historycznego będzie dla nas punktem wyjścia do zapowiedzianej analizy.

Bolszewizm ma już dziś nazbyt religjancki charakter, by spokojne, rozumowe argumenty, mogły trafić do przekonania jego poplecznikom. Jednakowoż w środowisku takiem, jak polskie, gdzie ruch ten znajduje się we wstępnej fazie i jest raczej przedmiotem studjów i obserwacji niż realizacji praktycznej — droga rzeczowego udowadniania całkowitej błędności i fikcyjności jego założeń może okazać się skuteczna. Pisma Lenina, fetysza bolszewizmu, którego mumja w mauzoleum na Kremlu jest celem bałwochwalczych pielgrzymek rosyjskeigo proletarjatu, będą tu niewątpliwie bardzo ciekawym objektem badań.

j. b.

Przegląd Prasy

NIETAKT.

W n-rze 25-tym „Tygodnika Illustrowanego", w rubryce „Idee i zdarzenia" znajduje się wielce niefortunny artykulik p. t. „Potrzeba miary". O ile wyszedł on z pod tego samego pióra, co i poprzednie notatki o „Zecie" w tej samej rubryce, należy stwierdzić, że autor jego przebrał miarę. Dotychczasowe jego uwagi krytyczne pod adresem naszego pisma przyjmowaliśmy spokojnie, biorąc za dobrą monetę zdawkowe słowa życzliwości i zachęty, mające pokryć prawdziwy, kto wie czy nie niechętny stosunek do naszej ideowej, pożytecznej chyba dla społeczeństwa działalności. Dlatego pomijaliśmy milczeniem błahe i nieprzemyślane zarzuty, wynikające niewątpliwie ze zbyt pobieżnego czytania „Zetu" i niezrozumienia jego założeń.

Ostatni artykulik posuwa się jednakowoż za daleko. Wystąpienie Jerzego Brauna w sprawie Miriama zostało w nim nietylko źle pojęte i dziwacznie zinterpretowane, ale także opatrzone komentarzami, świadczącemi o wyraźnej złej woli ich autora. Zbytecznem byłoby wdawać się w polemikę z zarzutami tam postawionemi, gdyż Jerzy Braun oświetlił już dostatecznie tę sprawę w obszernej odpowiedzi p. Zaniewickiemu z „Dnia Polskiego". Że autor „Potrzeby miary" złapał się na wędkę argumentu o bibljotece Kórnickiej, można mu wybaczyć, bo nie orjentuje się on w „problemie Wrońskiego" i nie przychodzi mu nawet do głowy, że gdyby Miriam ukrywał wszystkie rękopisy Wr. i zdławił tem samem całokształt tej spuścizny, byłoby to wprost zbrodnicze w stosunku do kultury i wiedzy. Bogu dzięki, wina jego jest niezrównanie mniejsza.

Natomiast nie można pominąć milczeniem prób zdyskredytowania akcji społecznej, podjętej w „Zecie" w oczach opinji publicznej przez sugerowanie, że ma ona na celu wyciąganie brudów materjalnych, a nie proces o najwyższe dobra duchowe, których Miriam jest niesumiennym depozytarjuszem. Ludzie, przyzwyczajeni do sentencyj dziennikarskich i skandalów literackich, ludzie, którym owe dobra duchowe są obojętne, sądzą z pozorów zbyt pochopnie. Nie wyobrażają sobie bowiem, jak bezcennym skarbem może być w oczach uświadomionych to, co Miriam ma w swoich rękach i jak dalece **tylko właściwe zużytkowanie tego skarbu** mają oni na względzie.

Wszystkie „rubłowe" obrachunki, jakich dokonuje autor notatki w „Tygodniku Illustr.", są conajmniej nie na miejscu. Wyliczanie ile pieniędzy Miriam dostał, a ile za to zrobił, nie obchodzi nas wcale. Tembardziej za niewłaściwe uważamy słowa o pomocy materjalnej, udzielonej pisarzom pokolenia J. Brauna, wyglądają bowiem na aluzję pod jego adresem. Braun o niej nic nie wie: jeśli idzie o niego, nigdy o pomocy tej dyskutować nie będzie, bo jeszcze nigdy pomocy materjalnej od społeczeństwa nie pobierał, gdyż — wprost przeciwnie — zawsze własnemi środkami sprawie społecznej służył.

Autor artykułu sprowadza zbyt przebiegle sprawę natury moralnej do „procesu p. Brauna o fundusze przyznane Miriamowi": jest to z jego strony właśnie „nieopatrznie wypowiedzianą omyłką... i nietaktem.. dużej miary".

Przesądzanie zaś z góry wyników przewodu sądowego i nastawianie opinji publicznej, a tem samem i sędziów — na korzyść Miriama, jako oskarżyciela — jest więcej niż nietaktem i zakrawa na chwyt niedozwolony.

Kronika lubelska

W końcu maja r. b. utworzył się w Lublinie Związek Literatów. Pierwsze zebranie inauguracyjne odbyło się 21.V. Na zebraniu tem, które zgromadziło literatów z Lublina i prowincji, omówiono statut oraz wybrano zarząd.

Prezesem został z wyboru Józef Czechowicz, członkami zarządu: Franciszka Arnsztajnowa, Wacław Gralewski i Antoni Madej.

*

W najbliższych dniach ukaże się pierwsza oficjalna publikacja Zw. Literatów w Lublinie: tom wierszy Bronisława Ludwika Michalskiego p.t. „Wczoraj".

*

Bibljofile lubelscy przystąpili do opublikowania „Almanachu Lubelskiego" skomponowanego stylowo na wzór dawnych kalendarzy. „Almanach" opracowują graficznie artyści: Juljusz Kurzątkowski i Jan Miklaszewski.

Kalendarjum, wesołe prognostyki i rozmaitości redagują bibljofile, część zaś literacka pozostaje pod kierunkiem Zw. Literatów.

*

Poeci lubelscy pracują intensywnie. Konrad Bielski ma gotowy tom pt. „Krew i whisky", K. A. Jaworski przygotowuje nową serję przekładów z Błoka, Jesienina, Balmonta i Sołłoguba, Fr. Arnsztajnowa opracowuje cykl, wierszy o starym Lublinie.

J. Czechowicz kończy pierwszy tom zaczętej przed 3-ma laty powieści p. t. „Berło". Tom pierwszy ma za tło rok 1863 w Lubelszczyźnie. Oś akcji stanowi krwawa bitwa pod Żyrzynem.

Sowiety i ich człowiek

Artur Rundt: Sowiety tworzą nowego człowieka. Wrażenia z podróży po Rosji sowieckiej. Przeł. z niem. M. F. Sieniawski. 1932. Wydawnictwo Nowoczesne, Warszawa. Str. 216.

Powódź wszelkiego rodzaju wydawnictw o Sowietach zaczyna już zalewać i Polskę, za przykładem zachodnich krajów. Przyczyną tego może być zarówno wzrastające zainteresowanie eksperymentem sowieckim, spotęgowane zwątpieniem w siły żywotne cywilizacji zachodniej — jak i ruchliwość propagandy komunistycznej, sączonej teraz już nie w masy proletarjatu europejskiego, lecz w mózgi „inteligenckie".

Książka niniejsza, jakkolwiek filosowiecka (i to zupełnie jawnie), zdaje się być owocem obserwacji człowieka bezinteresownego, który starał się kreślić swe wrażenia z podróży po sympatycznej mu Rosji bolszewickiej rzeczowo i objektywnie. Mimoto walory propagandowe tego reportażu zostały docenione, skoro wydawnictwo zaopatrzyło okładkę książki takiemi np. napisami:

„Rundt... sięga bystrym umysłem swoim w nieprzeniknione dotychczas głębie wielkiego eksperymentu, któremu nic odpowiada nic równie potężnego w przeszłych dziejach ludzkości..." lub: „Widzimy przy pracy tę część ludzkości, która świadoma celu swego, i gotowa na największe ofiary, nie oddaje się marzeniom o swych ideałach, lecz chce je urzeczywistnić".

Tak górnie zareklamowana książka Rundta nie jest jednakowoż niczem więcej, jak zbiorem niepowiązanych feljetonów i obrazków reportażowych, świadczących raczej o bystrości oka, niż umysłu ich obserwatora. O sięganiu w głębie niema tu mowy. Rundt referuje, opisuje, fotografuje — niekiedy zestawia porównawczo pewne zjawiska i usiłuje doczepić do nich jakieś zasadnicze refleksje, te jednak są zbyt powierzchowne, by miały utrafić w sedno skomplikowanej i wciąż jeszcze tajemniczej dla świata rzeczywistości sowieckiej.

Mimoto uważny czytelnik może się dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy z tej książki, o ile tylko umie myśleć, kojarzyć syntetycznie opisane zjawiska i budować obraz całości z poszczególnych wycinków życia. Będzie w tem zresztą niemała zasługa autora, głównie przez to, że uwypukla on trafnie pewne cechy charakterystyczne, dla środowiska sowieckiego najbardziej znamienne.

Cóż widzi czytelnik w kalejdoskopie p. Rundta?

Przedewszystkiem owo heglowskie „Państwo ponad wszystkiem", urzeczywistnione w koszmarnem iście natężeniu. Państwo „upojone władzą", „przemożne bezosobowe państwo", które określa Rundt krótko a dosadnie: „Car uśmiercony, absolutyzm żyje".

„Historja zna zjednoczenie świeckiej i duchownej władzy w jednem ręku, lecz tu jest owo Nowe, całkowicie Nowe, zdumiewające, czego turyście nie wytłumaczy żaden przewodnik: zadziwiająca, jakby sama przez się zrozumiała unja władzy gospodarczej i państwowej. Kraj jest jedną fabryką, której właścicielem jest państwo".

Państwo to stało się obecnie „pracodawcą wszystkich, potęgując srożej i bezwzględniej, niż jakikolwiek z dawnych, chciwych kapitalistów, intensywność pracy wszelkiemi środkami wyzysku; pracą akordową, nadliczbowemi godzinami, premjami, narzuconą taryfą płac, przymusowem wyznaczaniem miejsca pracy".

A więc wszystko, co było „budowlą ucisku", pozostało nadal, tylko, że w kapitalistycznym ustroju można było z tem jakoś walczyć, szukać ochrony państwa przed wyzyskiem klasy posiadającej, tutaj zaś obywatel jest całkowicie bezsilny i bezbronny; samowola państwa jest nieograniczona.

Ale prawda. To państwo jest przecież dyktaturą proletarjatu. Otóż Rundt pisze i o tem w rozdziale: „Kto dyktuje?"

„Jeśli proletarjat dyktuje, skąd więc bierze się tyle jęków proletarjackich w ciemnych zakątkach ulic i w czterech ścianach niezliczonych izdebek, miast krzyków radości tłumu z powodu nowozdobytej władzy?"

„Gdy za czasów walk klasowych rządząca burżuazja uciskała butem pierś proletarjatu, wówczas istniała jeszcze możliwość obrony — pod hasłem walki klasowej". Dziś sprawa wygląda inaczej. Uciskający i uciskany, władca i poddany— to dwaj towarzysze. Proletarjat znalazł się w matni. Jest to szczyt przebiegłości nastawić tak pułapkę, by poszkodowany schwytał w nią sam siebie. Do kogóż mógłby mieć z tego powodu pretensje?

W tem państwie proletarjatu jest wiele ciekawych rzeczy. Jednej tylko niema napewno: Wolności. Bolszewicy przyznają się do tego. Terror jest systemem zastosowanym zupełnie na chłodno, świadomie.

„Nie obiecują wolności. Wolność wydaje im się godna pogardy — tchnie nią hasło sztandarowe Lenina: „Wolność jest mieszczańskim przesądem".

Szkoda jednak, że wbrew tej szczerości „praktyka polityczna ukrywa nadstępnie faktyczny stan braku wolności". Oto jak wygląda głosowanie w kolektywie, który ma powziąć jakąś uchwałę.

„Przewodniczący odczytuje zebranym wniosek, następnie zaś stawia najpierw pytanie: „Kto jest przeciwko temu?" i dodaje natychmiast: „Kto przeciwko temu podniesie rękę!"

„Kilku członków komórki partyjnej bierze udział w zebraniu, ostrożności więc są wskazane. Nikt też nie podnosi ręki. Przewodniczący stwierdza tedy jednomyślność uchwały i wskazuje na to, że szybkość, z jaką uchwałę przyjęto, jest najlepszym dowodem zapału dla tego, co miano uchwalić".

Kłamstwo i podstęp, oganizacja donosicielstwa i histeryzowanie strachem — to metody z pewnością skuteczne, o ile się je zręcznie i konsekwentnie stosuje. Trudno jednak zachwycać się niemi człowiekowi, wychowanemu na chrześcijańskim kodeksie etycznym: choćby były celowe, pozostaną zawsze odrażające. Refleksje takie budzą się przy czytaniu wielu ustępów tej książki. Tak np. system poprawczy stosowany w t. zw. „komunie bezprytzornych", gdzie poskramia się schwytane bandy rozbójnicze młodych chłopców, prowadzi, jak widać z relacji do dodatnich rezultatów, ale ma w sobie coś z nieprzyjemnej perfidji.

Idzie o to, że nie wszystkie środki wiodące do celu — są dobre. Może to etyka burżuazyjna, ale nie podoba nam się ta obrona sowieckiego „wymiaru sprawiedliwości" przez zagadniętego urzędnika: „Pereat iustitia, fiat mundus!", niech djabli wezmą sprawiedliwość — byleby tylko nadszedł ten nowy świat, którego oczekujemy!"

Nową etykę, a raczej nie-etyczność realizowaną konsekwentnie w Sowietach charakteryzuje dosadnie system wychowania dzieci, o którym zresztą wie się tak wiele, iż książka Rundta nie wnosi nowego światła do tej sprawy. System ten ma swoje dobre strony, streszczone w zdaniu: „Nowa szkoła rosyjska nie zna ani kar, ani egzaminów, nie zadaje uczniom żadnych wypracowań domowych; jest to szkoła, która nie budzi trwogi". Możnaby też zgodzić się na tępienie instynktu współzawodnictwa, aby życie nie było „terenem walki o egzystencję gospodarczą, o znaczenie i karjerę". Ale znowuż przygotowywanie ucznia „do innej walki", wszczepianie mu „okropnej nienawiści do starego świata chrześcijańskiego" i „burżuazyjnego" — dyskredytuje całkowicie ten system pod względem etycznym. Ktoś przypomni tu może nasz nacjonalizm, wszczepianie młodzieży uczuć patrjotycznych? Ale miłość ojczyzny, to nie nienawiść wroga — tych zaś, co zatruwają młodzież tą nienawiścią, potępiamy bezapelacyjnie zawsze i wszędzie. Natomiast system sowiecki, podobnie jak urzeczywistnia złowrogą wizję bezdusznych, hiper-amerykańskich robotów tak w szkołach wskrzesza nanowo instytucję „janczarów", tylko w nowem, proletarjackiem wydaniu.

Dziwny i straszny będzie ten nowy człowiek sowiecki, zatruty nienawiścią do Boga i „nie-marksistów" („Człowiek zaczyna się od marksisty"), wychowany w atmosferze strachu i przymusu, z poczuciem etycznem zwichniętem i okaleczonem, z myślą sparaliżowaną średniowiecznym dogmatem doktrynalnym, ze ślepym kultem maszyny i przewrotnym ideałem człowieka - termita, człowieka bez duszy.

„Nauka bolszewicka odrzuca duszę — dusza jest kontrrewolucyjna". „W każdym dniu swojej podróży, codziennie, co godzina, widzisz przed sobą ludzi, jak ty, braci ale przykutych, nie mogących ujść z pod nacisku potężnej matrycy".

Otóż to, ludzie automaty. Stały motyw u tych, którzy z Rosji wrócili. „Człowiek w matrycy" „Myśl w obcęgach". Zniwelowanie jednostki, bo „tylko kolektyw nieosobowy jest realny", jednostka zaś jest tworem „umarłej przeszłości, wrogiego Zachodu, jednem słowem: burżuazji".

Jest to naprawdę nowy ład, nowy świat, ale jeżeli stanie się on kiedyś rzeczywistością, a nie eksperymentem laboratoryjnym — to **nie będzie to z pewnością świat ludzi**. Tego jednego uczą nas wszystkie objektywne i bezstronnie-życzliwe książki o Sowietach. Trzeba to stwierdzić i rozważyć spokojnie, nie histeryzując. Trzeba jednak zaprzeczać kategorycznie i uporczywie jednemu kłamstwu, temu mianowicie, że świat bolszewicki jest ucieczką od wszelkiej wiary, a realizacją władztwa rozumu. Bo system sowiecki godzi przedewszystkiem, wbrew wszelkim pozorom, w wolność i samorzutność ludzkiego rozumu.

„Zaświaty zniesione — pisze Rundt — raj urządza się na ziemi". Ale zauważa zaraz bardzo trafnie: „I kraj ten, którego losem jest, że rozumem nie może być podjęty, zakazuje wiary".

Uwagi swoje kończy Rundt cytatem z Dostojewskiego:

„Pięć, sześć wierszy, ot tak, ni stąd, ni zowąd, poprostu: zamknijcie szybko kościoły, zburzcie boga, rozwiążcie małżeństwa, znieście prawa dziedziczenia, chwyćcie za noże".

„To jest wszystko, a **djabeł wie** *), co będzie dalej".

---

*) Podkreślenie moje.

J. Braun.

KSIĄŻKI I CZASOPISMA NADESŁANE

Witold Zechenter: Linja prosta. Poezje. Poznań 1932. Wydawnictwo Dwutygodnika Literackiego. Skł. gł. Dom Książki Polskiej S. A. Str. 29.

Witold Zechenter: Niebieskie i złote. Poezje. Poznań 1932. Wydawnictwo Dwutygodnika Literackiego. Skł. gł. Dom Książki P lskiej S. A. Str. 22.

Marjan Czuchnowski: Reporter róż. Poezje. Kraków 1932. Wydawnictwo Literacko - Naukowe. Str. 28.

Lenin: Dzieła wybrane. Tom I. 1894 — 1899. Warszawa 1932. Skł. gł. Dom Książki Polskiej. Str. 386.

Głos plastyków nr. 4 (rok II) zawiera artykuły: dr. St. Swierz - Zaleskiego: Rembrandt w Polsce; Jana Wiktora: Zabytki polskie na jarmarku; Henryka Gotliba: Projekt ustawy o przymusie wystawiania obrazów dawnych mistrzów; Van Gogh o Holendrach (W listach do Emila Bernarda); oraz kronikę i List z Warszawy T. Czyżewskiego.

Jadwiga Kiewnarska: Skazy na szczęściu. Nowele. Warszawa 1932 Tow. Wyd. „Bluszcz". str. 182.

Edwin Herbert: Sonety Dnia Słonecznego. Bibljoteka „Promu" t. II. Poznań 1932. Str. 8.

F. Janczyk: Podszepty Prometejskie. Poezje. Kraków 1932. Gebethner i Wolff. Str. 73.

Poznańska grupa „Zrębu": Żywy Dziennik. 19 numerów (1929 — 1932). Poznań 1932. Wyd. Jana Kuglina. Str. 22. Karykatury Zygmunta Szpingiera.

Jest to b. pięknie wydane sprawozdanie z „żywego dziennika", prowadzonego w Poznaniu w ciągu prawie trzech lat przez Stefana Pape'go i Stefana Różyckiego. Jednodniówka ta zawiera artykuł St. Różyckiego: Od wydawcy, St. Pape'go: Kłopoty redaktora, oraz dział bibljograficzny, zawierający treść poszczególnych numerów. „Numer" zdobią kapitalne karykatury Zygmunta Szpingiera, oraz trzy fotomontaże.

Mieczysław Wojtaszewski: Cienie Poezje. Warszawa, 1930. Dom Książki Polskiej.

„Krak" (rok II nr. 9) zawiera szereg artykułów S. Szukalskiego: Bohatorły wyfruną z modłona Polski: Sercedrowe bożce i obłuda sklerozaknnej sztuki; Drogoznaki; A oni stoją i patrzą: Drzewiej było bawoł, a nie Wawel, kruk, a nie Krakus; artykuł P. Boratyńskiego: Chwasty Lwowa, oraz reprodukcje obrazów Szukalskiego: Pomnik Długoszowy; Z. Bryndzy: Miłośrlą cię zmuszę, i P. Boratyńskiego: Heretyk.

Kronika

„Szlakiem Niepodległych" — Lucjana André, książka przedstawiająca w cyklu obrazów poetyckich pisanych pod wrażeniem rozgrywających się wydarzeń — dzieje Polski Odrodzonej — została ostatnio polecona przez Ministerstwo Oświaty do bibljotek szkolnych i przez Min. Spraw Wojskowych do bibljotek żołnierskich. W najbliższej przyszłości ukaże się drugie wydanie tej książki.

Instytut Propagandy Sztuki powziął szczęśliwą myśl wydawania przy katalogu bieżących wystaw — czasopisma p. t. „Wiadomości plastyczne". Pismo zaczęło ukazywać się w maju, wraz z otwarciem salonu wiosennego Towarzystwa „Rytm".

Antologja literatury światowej.

The European Caravan, antologja literatury europejskiej wydana przez S. Puthama w New Yorku, daje nam pełny i wyrazisty obraz tego, co przyniosła nam powojenna twórczość. Już poprzednio, w swojej The American Caravan obejmującej literatury Nowego Świata, zapoczątkował Putham trafny pomysł podkreślenia wszystkich zmian, które światowa wojna wniosła do sztuki i myśli naszych czasów. Analogja ta rozszerzona obecnie obejmuje w swym pierwszym tomie literaturę francuską, hiszpańską, angielską i irlandzką. Należy podkreślić, że dzieło to nietylko jest zbiorem poszczególnych utworów, ale w szeregu krytycznych uwag stara się ująć całokształt twórczości każdego pisarza i kraju. Wspaniały ten wyczyn kulturalny zasługuje na tem większą uwagę, że nie może nic lepiej uwydatnić całokształtu i charakteru epoki jak taka antologja twórczości całego świata.

Odznaczenie literackie.

Znany pisarz Prudencio Bertran otrzymał w tym roku katalońską nagrodę literacką Creixella za swoją powieść „Hercu" opisującą życie wsi katalońskiej.

Nagroda literacka Kartaginy wynosząca sumę 4000 franków, mająca wyróżniać pisarzy związanych w swojej twórczości z północną Afryką, została przyznana za rok 1931 powieściopisarzowi M. Rivel'owi za jego książkę „l'Enfant de l Oukala".

Trzy książki o wychowaniu

Problem nauczania, podjęty szerzej jeszcze jako problem wychowania społecznego, jest w Polsce — urządzającej dopiero swoje życie publiczne w ramach odzyskanej państwowości — szczególnie aktualny. Różnorodność istniejących systemów i metod pedagogicznych obok słusznej dążności do zastosowania wszystkiego, co przyniosły współczesne badania i konkretne eksperymenty w tej dziedzinie w krajach zachodnich — fascynują umysły polskie, sprawiając, że cały nasz system wychowania znajduje się w stadjum płynnej przejściowości, niespokojnych poszukiwań. Reformy, jakich dokonano już u nas kilkakrotnie na tem polu, nie będą z pewnością ostatniemi. Poczucie niedoskonałości obecnego stanu rzeczy i konieczności głębokich przemian czyni zagadnienie wychowawcze przedmiotem niekłamanych zainteresowań społeczeństwa polskiego. Idzie tu bowiem o ustalenie pionu orjentacyjnego pedagogiki polskiej, przed którą stoją zadania, niewspółmierne do jej dotychczasowej możliwości i środków.

Chcielibyśmy wziąć udział w dyskusji nad tym problemem, już w najbliższym czasie, rozważając go w specjalnym numerze „pedagogicznym", w którym obok analizy różnych systemów wychowania i nowych dzieł z tego zakresu — mamy zamiar podać również główne wytyczne pedagogiki, zawartej w polskich doktrynach filozoficznych.

Poniżej notujemy trzy niedawno wydane dzieła, traktujące o wychowaniu, aby spełnić już teraz obowiązek sprawozdawczy, zanim jeszcze omówimy je (w zapowiedzianym numerze pedagogicznym) w obszernej analizie porównawczo - krytycznej. Książki te, zestawione razem, zainteresować mogą odmiennością ujęcia problemu i swoistością związanych z nim światopoglądów.

Pierwsza z nich to „Szkoła twórcza" Henryka Rowida (Podstawy teoretyczne i drogi urzeczywistnienia nowej szkoły. Kraków 1931, str. 374, skł. gł. Gebethner i Wolff), książka, która osiągnęła w przeciągu kilku lat 3 wydania, co świadczy o żywym oddźwięku, jaki budzi. Autor jej, pedagog polski, zbudował swój system wychowawczy na rusztowaniu polskiej myśli filozoficznej, a mianowicie na filozofji pedagogji Hoene - Wrońskiego i na poglądach Bronisława Trentowskiego: w pracy swojej uwzględnił arcyważny problem teleologji wychowania, podkreślając związek jego z celami ogólnemi ludzkości i oparł system szkoły twórczej na idei samostwarzania się człowieka, stanowiącej oś filozofji praktycznej Wrońskiego.

Bertranda Russella „O wychowaniu" (tłum. z ang. dr. J. Hosiassonówna: nakł. „Naszej Księgarni", Warszawa 1932, str. 256), to książka traktująca specjalnie o wczesnym dzieciństwie i problemach wychowawczych, jakie ono nastręcza. Autor nie zajmuje się tu teorją pedagogiki, nie rozwija swych poglądów filozoficznych na tę dziedzinę, zamykając ją w granicach rozważań ściśle praktycznych i operując licznemi przykładami i konkretnemi przypadkami.

Inny charakter ma dzieło znanego myśliciela rosyjskiego, prof. uniw. niem. w Pradze czeskiej, Sergjusza Hessena (p. t. „Podstawy pedagogiki" (przeł. z rosyjskiego dr. Adam Zieleńczyk: nakł. „Naszej Księgarni", Warszawa 1931, str. 420). Zestawia ono wprawdzie porównawczo różne poglądy i systemy pedagogiczne i szuka na ich tle nowoczesnego rozwiązania tego problemu w płaszczyźnie konkretnej — ale, nie poprzestając na tem, zajmuje się również samą filozofją pedagogji, wykrywając w niej antynomję zasad podstawowych odnośnie do samego celu wychowania (zagadnienia teleologiczne).

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. J. M. B. Łódź. Dziękujemy za słuszne uwagi i za życzliwe słowa. Mimo starań nie mogliśmy dotąd wszystkich działów pisma postawić na jednako wysokim poziomie. Posądzenia o „antysemityzm" nie „obawialiśmy się", odparliśmy tylko zarzut nie mający uzasadnienia.

Autorowi „Rekordomanji". Z wierszy nie skorzystamy. Z dwu nadesłanych, „Rekordomanja" lepsza — ale jeszcze zbyt słaba.

„Satiricon" Graz. Nie skorzystamy. Wiersze nie na poziomie pisma. Notatki z ruchu umysłowego zagranicą (krótkie 10—20 wierszowe) umieszczalibyśmy ewentualnie.

REDAKCJA: Warszawa — Jerzy Braun, Inżynierska 7 m. 30. Telefon 10 - 20 - 58. Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Inżynierska 7 m. 30. Tel. 10-20-58. Konto P. K. O. 153.210. Lwów: Józef Radzimiński, Strzała 8. Tel. 40-35.

Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł

Druk. „Nowogrodzka", Warszawa, Tarczyńska 4, tel. 680-20.